

Michał Lorkiewicz

Wspomnienia z niewoli niemieckiej

Palestra 26/1-3(289-291), 122-128

1982

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

adwokackiego udało się jednak „zaczepić” i orzeczeniem Wyższej Komisji Weryfikacyjnej przy Ministrze Sprawiedliwości adw. Stanisław Wąsowicz odzyskał uprawnienia. Wstąpił do Zespołu Adwokackiego Nr 1, w którym praktykował jako jeden z najwybitniejszych członków Izby do ostatnich dni swego życia.

Był niestrudzonym działaczem samorządu adwokackiego. Wybrany w 1956 r. na Walnym Zjeździe Adwokatów Izby Poznańskiej członkiem Rady Adwokackiej, pozostawał w jej składzie, stałe wybierany na kolejne kadencje, aż do roku 1976, kiedy to zrezygnował z dalszego w niej udziału, zmęczony już i obciążony obowiązkami związanymi z prowadzeniem najpoważniejszych spraw. Był w latach 1967—1976 wicedziekanem, a następnie jeszcze przez trzy lata członkiem Wyższej Komisji Dyscyplinarnej. Cieszył się powszechnym zaufaniem i szacunkiem.

Od wielu lat był wykładowcą prawa karnego i członkiem komisji egzaminacyjnej dla aplikantów adwokackich. Zdobył sobie serca młodzieży, kształtując młode umysły i służąc im swoim doświadczeniem i pomocą.

Był aktywnym członkiem Zrzeszenia Prawników Polskich. W uznaniu wybitnych zasług i najwyższych kwalifikacji zawodowych i moralnych odznaczony został m.in. Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski, Złotą Odznaką „Adwokatura PRL”, Złotą Odznaką ZPP, tudzież innymi odznaczeniami.

Nie doczekał się już owoców Zjazdu, któremu na kilka dni przed śmiercią przewodniczył z godnością i talentem.

Autor niniejszego wspomnienia miał zaszczyt być z Nim razem w Klubie Dobrych Przyjaciół, w którym szukał wytchnienia, szczeroci, chwili relaksu.

Kolega Stanisław Wąsowicz dobrze wypełnił swoją służbę w zawodzie, jaki wybrał i pokochał. Pamięć o Nim zachowamy aż po kres naszych dni.

adw. Witold Knoppek

KARTKI Z HISTORII

MICHAŁ LORKIEWICZ

WSPOMNIENIA Z NIEWOLI NIEMIECKIEJ

Lata spędzone w niewoli niemieckiej w różnych oflagach w zupełnej niemal izolacji od otaczającego nas świata stworzyły społeczność obozową, która wypracowała sobie z biegiem czasu własne kanony bytowania, pozwalające jej przetrwać te ciężkie i nienaturalne warunki życiwe, a nawet okrasić je pewnym humorem obozowym (o zabarwieniu raczej czarnym). Nie było chyba nikogo wśród nas, kto nie byłby przekonany o nadchodzącej klęsce Niemiec. Nie omieszkało przy tym podtykać tego pod nos pilnującej nas załozde przy każdej nadającej się okazji z racji przeprowadzania nieraz poufnych rozmów z jakimś *Wachtmanem*.

W niemałej mierze do wypracowania tych norm współżycia i osiągnięcia przez naszą społeczność obozową pewnej stabilizacji w tym względzie przyczyniła się ofiarna praca prawników, w tym oczywiście także adwokatów poznańskich.

Toteż z nie małą satysfakcją usłyszeliśmy, że Duńczyk Christianson, który w marcu 1943 r. wizytował nasz obóz w Grossborn-Westfalenhof (położony na północy od Wałcza) z ramienia Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wyraził się, iż ze wszystkich obozów, które odwiedził, najlepiej zorganizowane są obozy jeńców polskich.

Na pewno nie było w tym przesady, ale też nie można pominąć dość istotnej okoliczności, że oficerowie polscy przebywali w niewoli najdłużej i już od samego początku tworzyli zwarte grupy (obozy), liczące po kilka tysięcy, co niewątpliwie stwarzało konieczność wypracowania i stosowania pewnych norm organizacyjnych.

Chcąc odtworzyć przebieg procesu integracyjnego oraz przedstawić, w jaki sposób również prawnicy przyczynili się do regeneracji siły vitalnej społeczności obozowej, muszę sięgnąć do samego początku naszej tragedii oraz opisać mój własny los, który zaprowadził i mnie za kolczaste druty obozowe.

Do niewoli dostałem się 19 września 1939 r. Po kilku dniach uciążliwego marszu w kolumnie jeńców i obozowania pod gołym niebem zostaliśmy zakwaterowani w koszarach w Skierniewicach. Tam spotkałem poznańskiego adwokata dra Jana Kręglewskiego, który jednak jakimś sposobem uzyskał zwolnienie i dalszego naszego losu z nami nie podzielił. Na początku października zostaliśmy przewiezieni wagonami bydłecy do Altengrabow koło Magdeburga (byłego obozu jeńców francuskich w okresie I wojny światowej), a stamtąd po trzech dniach — do stałego obozu w Osterode w górach Harcu.

Było nas około 2 000 oficerów, w tym chyba 70% rezerwistów. Obóz składał się z b. solidnych baraków (niemiecki obóz ćwiczebny). Każdy barak tworzył kompanię ze starszymi kompani na czele, wyznaczonym przez polskiego komendanta. Był nim rtm. rez. Wichliński-Mielżyński, adoptowany syn hr. Mielżyńskiego z Iwna Wlkp. (najstarsza ranga w obozie to kpt. bądź rim.), nazywanego przez Niemców czarnym hrabią (*der schwarze Graf* ze względu na ciemną cerę i czarne włosy). Jednym ze starszych w kompanii byłem i ja, a więc od razu miałem zajęcie (czyli — mówiąc językiem obozowym — funkcje), które pozwoliło mi przezwyteżać depresję, w jaką prawie bez wyjątku wszyscy popadliśmy.

Atmosfera w obozie w początkowym okresie przypominała wzburzone morze. Szok po okresie wrześniowej był zbyt mocny. Nie wiadomo po raz który w gorących dyskusjach przeżywano i przeżywano ten nieszczęsny wrzesień 1939. a oskarżeniom i posadzeniom nie było końca. Nie sprzyjało też poprawie samopoczucia jeńców bardzo skąpe odżywianie. Pierwsze paczki żywnościowe zaczęły nadchodzić dopiero po kilku miesiącach. Wszystko to, spotęgowane zagęszczonym zaludnieniem baraków, wzmagало agresywność w stosunkach wzajemnych.

Jeńcy-prawnicy znaleźli tu wdzięczne pole do pracy społecznej. Utworzyliśmy sądy koleżeńskie, które godziły powaźnione strony, w jaskrawych zaś wypadkach ferowały wyroki potępiające agresora. Zdarzały się nawet wypadki pozbawienia wyrokiem stopnia oficerskiego. Byłem właśnie przewodniczącym jednego z takich kompletów sądzących, a jednym z jego członków był por. rez. kaw. Witold Trepka, po wojnie adwokat w Kaliszu. Z poznańskich adwokatów był w tym obozie jeszcze tylko adw. Eugeniusz Ekner, a z innych okręgów: adw. Borysiewicz ze Lwowa oraz adw. i zarazem wiceprezydent m. Bydgoszczy Szpikowski. Przypuszczam, że i oni pracowali w sądach koleżeńskich.

W Osterode prawnicy nie zdążyli utworzyć organizacji zawodowej i tylko bardzo nieśmiało zapoczątkowano tworzenie orkiestry obozowej, którą kierował utalentowany muzyk ppor. Hardulak (podobno już przed wojną dyrygował orkiestrą

Filharmonii warszawskiej). Stworzono też kabarecik, w którym popisывał się znany później gawędziarz poznański ppor. Strugarek, z zawodu nauczyciel.

W lipcu 1940 r. gruchnęła wieść, że obóz będzie rozwiązany, a jeńcy podzieleni zostaną na 5 grup, z których każda skierowana zostanie do innego oflagu. Po dłuższych pertraktacjach z komendą niemiecką, w których brałem udział, uzyskaliśmy zezwolenie na sporządzenie list we własnym zakresie według życzeń poszczególnych kolegów. Ja zapisałem się do grupy przeznaczonej w liczbie 800 jeńców do obozu w Prenzlau (obecnie w NRD, ca 60 km na połud.-zachód od Szczecina). Kol. Trepka oraz pozostali adwokaci zapisali się do innych grup. Jedynie z kol. Eknerem spotkałem się w 1942 r. w innym obozie.

W obozie Prenzlau nasza grupa tworzyła odrębną jednostkę i już po dalszych trzech miesiącach późną jesienią 1940 r. zostaliśmy przetransportowani do obozu w Arnswalde, obecnie Choszczno. Obóz ten, noszący numerację XI A, mieścił się w koszarach.

Razem z jeńcami tam już zakwaterowanymi tworzyliśmy grupę liczącą ca 4000 oficerów. Grupę naszą w Osterode przyjął niemiecki komendant płk Lebecke. Przypominam sobie rozmowę jego z Mielżyńskim, której byłem świadkiem. Lebecke szczylił się tym, że w jego żyłach płynie również krew polska i że jego antenaci nosili nazwisko Lebeckich (pochodził on z pomorskich junkrów). Muszę przyznać, że traktował on polskich jeńców bardzo przyzwoicie. Niestety, krótko po naszym przyjeździe odwołano go ze stanowiska komendanta obozu.

Obóz w Choszcznie przetrwał do wiosny 1942 r. Ale i tutaj poza orkiestrą obozową i lepiej już zorganizowaną estradą prosperowały tylko nieliczne koła skupiające niektóre grupy zawodowe. Nie mieli własnego koła także prawnicy. Ja zajmowałem się wtedy wyłącznie pracą w sądach koleżeńskich, uczyłem się obcych języków, a ponadto udzielałem kolegom pomocy prawnej, gdy zachodziła ku temu potrzeba. W tym obozie poza mną nie było żadnego prawnika z palestry poznańskiej. Z okresu tego przytoczę tylko jeden wypadek udzielenia przeze mnie pomocy prawnej, o tyle przy tym komiczny, że o mało co nie zakończył się on dla mnie karcerem.

Otóż jednemu z kolegów (był nim nauczyciel z Pomorza, nazwiska jego nie pamiętam) doręczono pozew o alimenty, który wpłynął do Sądu Powiatowego w Choszcznie. W odpowiedzi na pozew, którą oczywiście podpisał pozwany, podniosłem poza zarzutem, że pozwany matki powoda w ogóle nie zna, zarzut niewłaściwości rzeczowej sądu niemieckiego twierdząc, że po okupacji sądy polskie wydanego wyroku nie będą honorowały. Po pewnym czasie (odpowieź na pozew wyszła z obozu) zachodziła potrzeba wniesienia dalszego pisma procesowego. Na wszelki wypadek odpis odpowiedzi na pozew do tego pisma dołączyłem. Wkrótce potem przybiegł do mnie ów kolega wielce zaambarasowany i poinformował mnie, że został przesłuchany przez oficera *Abwehry*, który wymusił na nim wyjawienie prawnika (bo tylko prawnik, zdaniem jego, mógł mu tę sprawę prowadzić), grożąc przy tym, że się z nim rozprawi. Uspokoilem go, że poza ewentualnym aresztem nic poważnego mi nie grozi i że chyba jakoś się z tego wybronię.

Jeszcze tego samego dnia zostałem rzeczywiście wezwany przez owego oficera *Abwehry* (a nie cieszył się u nas dobrą sławą). Zastałem go w biurze z dwoma jeszcze kapitanami. Przyjęty zostałem z wrzaskiem: „Co za bezczelność pisać o polskich sądach itp.!” Na to odpowiedziałem mu ze spokojem, że przecież odpowiedź na pozew, która nie przypadła mu do gustu, jest już w sądzie i że została przyjęta przez sąd bez ujemnych skutków dla cenzury obozowej. Chodzi bowiem

o zwykły zarzut procesowy formalny, który będzie rozpatrywany. Uspokoilo go to nieco i zaczął wypytywać o meritum sprawy. Wszyscy trzej zainteresowali się tym wypadkiem, a nasza rozmowa zakończyła się ostatecznie tym, że pozwany kolega otrzymał 4 formularze listowe dodatkowo dla szukania świadków (tłumaczyłem, że trzeba mu prowadzenie procesu ułatwić), a ponadto postanowiono wysłać na rozprawę sądową razem z pozwanym 3 oficerów do niego podobnych, by matkę powoda wystawić na próbę. Tak się też stało, ale matka już na korytarzu zwróciła się właśnie do pozwanego jako ojca jej dziecka. A ponieważ stanowczo zeznawała na rozprawie, że pozwany jest ojcem dziecka, zapadł oczywiście wyrok zasądający.

Obóz w Choszczynie mieścił się w koszarach centralnie ogrzewanych. Ponieważ jeńcy Francuzi zajmowali w oflagu Grossborn-Westfahlenhof baraki i skarżyli się na zimno i niewygody, Niemcy postanowili dokonać wymiany. Widocznie uważali, że Polakom, jako *Untermenschom*, baraki będą bardziej „do twarzy”. Stało się to na wiosnę 1942 r. i cały nasz obóz sukcesywnie przewieziony został batalionami do Grossborn, Francuzi zaś do Choszczyna. Francuzi witali nas polskimi flagami, głośno manifestując swą dla nas sympatię i przyjaźń, a Niemcom, zaskoczonym takim zachowaniem się jeńców (bo i z naszej strony nie było końca okrzykom), z trudnością udało się uspokoić manifestantów (zagrożono wypuszczeniem psów i użyciem broni). Niestety musieliśmy pozostawić w Choszczynie b. komendanta naszego obozu w Osterode rtm. Mielżyńskiego. Chorował na raka pęcherza i stan jego nie zezwalał na transport. Zmarł potem w Choszczynie.

Zmiana obozu, wbrew oczekiwaniom, wyszła nam na dobre. Większa przestrzeń i większa swoboda, a przede wszystkim jednak pewna ilość wolnych lokali sprzyjały rozwinięciu się akcji kulturalno-oświatowej. Zaczęły się tworzyć koła zawodowe, organizowały się liczne kursy językowe, a sport uprawiany był w klubach piłki nożnej i sekcjach lekkoatletycznych.

Powstało również wtedy Koło prawników, którego przez pewien czas byłem prezesem, członkiem zaś zarządu Koła byłam przez cały czas jego istnienia. Czynne były trzy sekcje: sekcja kształcenia początkujących prawników na poziomie pierwszych dwóch lat uniwersyteckich, sekcja szkolenia aplikantów sądowych oraz sekcja szkolenia aplikantów adwokackich.

Nie przypominam sobie dzisiaj wszystkich nazwisk kolegów wyładowców. Do pracy garnęli się prawnicy wszystkich rodzajów: sędziowie, prokuratorzy, notariusze i adwokaci. Byli wśród nich: sędzia apelacyjny Jan Rubel z Wilna, sędzia okręgowy Jerzy Łąpkiewicz z Torunia, adwokat Antoni Obuchowicz z Łodzi, sędzia apelacyjny Michał Willamowicz, wiceprokuratorzy: Aleksander Achmatowicz, Wiesław Anc i Kazimierz Różycki. Wśród adwokatów poznańskich znaleźli się w tym obozie Marian Schroeder, przybyły z grupą oficerów z obozu Hadamar (niedaleko Koblencki), Eugeniusz Ekner oraz Witold Rzepczyński, który jako amator muzyk-pianista poświęcił się wyłącznie występom estradowym jako odtwórca muzyki Chopina. Schroeder zaś zajmował się raczej wygłaszaniem popularnych odczytów na obrane przez siebie tematy, i to w barakach mieszkalnych dla ich załogi.

Prowadzenie szkolenia aplikantów adwokackich powierzono mnie. Przewodniczyłem też na egzaminach adwokackich. Z poznańskich adwokatów dyplom w obozie uzyskali adwokaci: Zieliński z Ostrowa Wlkp. oraz Marian Deorffer i Mieczysław Klauziński z Poznania (nie żyją już obaj). Odpisy ich dyplomów wysłaliśmy do MCK w Genewie.

Szkoleniem aplikantów sądowych zajmował się sędzia powiatowy Władysław

Bagiński, obecnie emerytowany wiceprezes Gł. Kom. Arb. w Warszawie. Przewodniczył on także na egzaminach sędziowskich.

Niezależnie od pracy w Kole prawników wykładałem prawo handlowe w Kole ekonomistów-handlowców. Komenda polska powierzyła mi funkcję starszego kompanii i opiekę nad batalionem strzelców (ordynansów i rzemieślników) oraz prowadzenie kantyny obozowej, a raczej rozdział przydzielanych nam towarów, jak np. żyłek, zapalek i proszku do zębów. Starłem się tu rozszerzyć nieco działalność kantyny i z pomocą ppor. Trafisza, wytrawnego handlowca w cywilu, zorganizowaliśmy sklep komisowy, który znakomicie prosperował. Moje zaangażowanie w życiu społecznym obozu tak ocenił Tadeusz Gasztold w swej książce, wydanej w 1977 r. przez Koszaliński Ośrodek Naukowo-Badawczy, pod tytułem „Życie kulturalne w obozach polskich jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim w latach 1939—1945” (str. 180/181):

„Aktywną działalność prowadzili juryści skupieni w Kole prawników, wśród których kpt. Michał Lorkiewicz i ppor. Władysław Bagiński dali się poznać jako doskonali organizatorzy społecznego życia (...). Działalność prawników koncentrowała się na popularyzacji prawa poprzez odczyty i publiczne dyskusje. Z inicjatywy Koła Prawników odbyła się publiczna impreza pod nazwą «Proces Cezarego Baryki» z kompletem sądzącym, prokuratorem, obrońcą i świadkami, przy czym oskarżony i świadkowie posługiwali się wyłącznie tekstami z «Przedwiośnia». «Proces» zakończył się uniewinnieniem C. Baryki. Impreza cieszyła się dużym powodzeniem, gromadząc komplet widzów”.

Przy wszystkich tych zajęciach nie zaniedbywałem nauki języków obcych i oczywiście gry w brydża. Miałem więc pracy po same uszy — najlepsze lekarstwo na chorobę drutów.

Na przełomie 1943/1944 przetrzucono do Grossbornu, noszącego numerację II D, cały obóz polski Neubrandenburg. Przeniesiono nas wobec tego do nieco obszerniejszego obozu odalonego tylko o ca 500 m od obozu dotychczasowego, który później zapełnił się członkiniami BdM (*Bund deutscher Mädel*). Zdezorganizowało to nieco, choć tylko na krótki okres, akcję kulturalno-oświatową, ale już po kilku dniach życie obozowe płynęło dawnym, a może nawet i bujniejszym nurtem.

Wśród przybyłych z Neubrandenburga znaleźli się: adw. Albrecht, późniejszy dziekan Rady Adwokackiej w Łodzi, Adam Rapacki, późniejszy minister w rządzie PRL, z adwokatów poznańskich Roman Sioda, Lebiński, Echaust oraz adw. Stefan Stroiński z Ostrowa i adw. Gantkowski ze Żnina, a z apelacji toruńskiej — adwokaci Linettej i Łangowski. W obozie w Grossborn przebywali także b. notariusz Kazowski z Jarocina i adw. Jankowski, nie przypominam sobie jednak, czy przybyli oni z nami z Choszczna, czy też z Neubrandenburga. Były obóz Neubrandenburg tworzył odrębną jednostkę organizacyjną z własnym komendantem. Toteż wymienieni prawnicy w życiu naszego koła, o ile wiem, udziału nie brali.

Ze spraw, które w ramach udzielania pomocy prawnej kolegom prowadziłem w obozie, wspomnę tylko pewną sprawę rozwodową, która, podobnie jak w Choszcznie, zaprowadziła mnie znowu przed oblicze oficera *Abwehry*. W odpowiedzi na pozew żony kolegi (wpisała się na listę *vd*) zarzuciłem znowu niekompetencję sądów niemieckich na terenach okupowanych. Historia powtórzyła się jota w jota jak poprzednio. Kolega musiał zdradzić nazwisko autora i zostałem wezwany do tłumaczenia się. Sytuacja jednak była tu nieco odmienna. Klęska Niemiec już się zarysowywała. Toteż na obecnie kulturalniejsze i spokojniejsze zapytanie oficera niemieckiego, co ja sobie wyobrażam, podnosząc tego rodzaju zarzut, odpowie-

działem zapytaniem, czy nie nabrał jeszcze przekonania o tym, że wojna dla Niemców jest przegrana i że okupowane ziemie wrócą do Polski. Niemiec poiknął pigułkę i nic nie odpowiedział. Nie dowiedziałem się jednak nigdy, czy odpowiedź na pozew wyszła z obozu i trafiła do sądu.

Późną jesienią przybyła do nas grupa oficerów z powstania warszawskiego. Jeden z oficerów, kpt. Józef Wiśniewski, zgłosił się do mnie z prośbą o przyjęcie go do sekcji aplikantów adwokackich. Aż do zlikwidowania obozu brał udział w zajęciach praktycznych. Do kraju nie wrócił. Zamieszkuje do dziś w Londynie, trudniąc się windykowaniem odszkodowań dla Polaków emigrantów.

W styczniu 1945 r. wobec zliżającego się frontu wschodniego, zostaliśmy ewakuowani pieszym marszem do obozu w Sandbostel pod Bremą. Był to olbrzymi stalag (*Stammlager* — dla jeńców szeregowych), w którym odgrodzono część baraków dla naszego obozu. Przebywała w nim już zresztą spora grupa oficerów z powstania warszawskiego. W obozie Grossborn pozostali chorzy i niezdolni do marszu (była wśród nich spora grupa zdrowych, ale stroniących od ewakuacji).

Marsz do Bremy, trwający przeszło 2 miesiące, był makabryczny, z przysłowio- wym węzełkiem na plecach, na prędcie skleconymi plecakami, o głodzie i chłodzie. Wszystko pozostawiliśmy na miejscu — cały nasz dobytek i urządzenia, jakże stworzyło bujne życie obozowe z akcją kulturalno-oświatową włącznie. Od tej chwili skończyła się wszelka działalność kółek zawodowych, a pozostała tylko organizacja wojskowa, która pozwalała nam w jako takim ładzie i porządku wytrwać do końca w obozie Sandbostel.

W maju 1945 r. wyzwoliła nasz obóz dywizja szkocka i po jakimś czasie przewieziono nas do koszar w Verden nad Allerą a później do Delmenhorst, miasteczka położonego ca 30 km na zachód od Bremy.

Wielu kolegów prawników, którzy znaleźli się w Sandbostel i nie zamierzali gnusnąć w obozach przygotowanych przez Anglików (najpierw w Verden, a potem w Delmenhorst), znaleźli pracę w działających już instytucjach bądź to alianckich, bądź też w obozach dla dżipisów (*displaced persons*), tj. więźniów z obozów koncentracyjnych lub osób wywiezionych na przymusowe roboty. I tak kol. Roman Sioda zatrudniony został w sądzie amerykańskim dla polskich dżipisów w enklawie amerykańskiej w Bremie, Stefan Stroiński pełnił funkcję oficera łącznikowego w obozie polskim dla dżipisów w Bremie (*liaison-officer*), Witold Rzepczyński zaś ruszył do dywizji gen. Maczka w Meppen, by tam znaleźć zajęcie w grupie estradowej.

Mnie zabrał szef Misji do Ścigania Zbrodni Wojennych w Bad Oynhausen (główniej kwaterze gen. Montgomery'ego) mjr czasu wojny Tadeusz Kaczorowski, b. notariusz we Wrześni, by pełnić w tej Misji funkcje zastępcy szefa (T.K. zmarł w 1977 r. w Poznaniu). Utworzyliśmy wtedy kilka ekspozytur śledczych ulokowanych w większych miastach w celu prowadzenia dochodzeń na podstawie licznych doniesień ze strony polskich dżipisów albo też zleceń alianckich władz wojskowych (tzw. *brief*). I tak np. w Brunszwiku działał kolega Linettej wspólnie z sędzią okręgowym w Katowicach Romanem Zdankiewiczem, w Hanowerze adw. Roman Witecki z Krotoszyna, b. jeńiec ołlagu Doessel, a w Lubece b. not. Kazowski, przebywający obecnie w USA.

Nasza praca w samej Misji (*Polish War Crimes Mission*) polegała przede wszystkim na wyławianiu z ogromnego wykazu, zawierającego około 30 000 nazwisk hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, poszukiwanych przez państwa alianckie, oraz z dostarczanych nam przez wojskowe władze angielskie spisów jeńców niemieckich umieszczonych w obozach. Podejrzanych o zbrodnie wojenne identyfikowaliśmy

następnie po uprzednim drobiazgowym przebadaniu ich na miejscu w obozie. Praca ta była bardzo mozolna, a ustalenie osoby poszukiwanej było utrudnione ze względu na mnogość identycznych nazwisk. Niejednokrotnie wyjazd do danego obozu nie dał spodziewanego rezultatu. Poza tym należało rozpatrywać liczne napływające do Misji od dipisów-Polaków donosy i skargi na okrutne traktowanie ich przez ich niedawnych pracodawców, miejscowych Niemców.

Wszczęte przez nas dochodzenia doprowadzały często do aresztowania winnych i przekazania sprawy z aktem oskarżenia okupacyjnej władzy angielskiej. Przytoczę tutaj tylko jedną z takich spraw ze względu na towarzyszące dochodzeniom szczególne okoliczności.

W okresie okupacji Niemcy urządzili w Pabianicach pod Łodzią w warsztatach miejscowej szkoły technicznej fabrykę precyzyjnych instrumentów i części zamiennych dla czołgów, zatrudniając w niej około 500 miejscowych Polaków-przymusowych robotników. Gdy zaczął się zbliżać front wojenny, fabrykę wraz z całym personelem ewakuowano do Herford-Bielefeld w północnej Westfalii, a po kapitulacji Niemiec angielskie władze okupacyjne zakwaterowały Polaków jako dipisów w wiosce Lade, niedaleko Minden nad Wezerą. Pabianiczanie, przybywając do Misji (Bad Oynhausen położony jest ca 10 km od Minden), skarżyli się na okrucieństwa, jakich doznawali od kierownictwa fabryki oraz od starszych majstrów. W donosach powtarzały się skargi na bicie i katowanie za najblizsze przewinienie czy zaniedbanie, a nawet osadzanie w bunkrze głodowym. Wszczęte przeze mnie dochodzenie potwierdziło w całej pełni stawiane zarzuty i pozwoliło ustalić nazwiska winnych (trzech członków dyrekcji oraz siedmiu majstrów i niższych urzędników fabryki). Po zamknięciu śledztwa przygotowałem nakazy aresztowania (*arrestreports*) i po uzyskaniu zgody wojskowego komendanta powiatu, zmobilizowałem pluton polskiej kompanii wartowniczej, której przydany został przez owego komendanta wóz ciężarowy z kierowcą. Otoczyłem gmach fabryki i aresztowałem 9 spośród obecnych w niej przestępców, w tym cały skład dyrekcji w komplecie. W trakcie tej akcji zajechała na podwórze fabryczne ciężarówka z żandarmerią angielską dowodzona przez jakiegoś majora, który w ostrym tonie zażądał od mnie wyjaśnienia, co się tutaj dzieje. Gdy mu odpowiedziałem, że to widocznie Niemcy zawiadomili go, iż Polacy „napadli” na fabrykę (potwierdził moje przypuszczenie), wówczas okazałem nakazy aresztowania i wyjaśniłem mu przyczyny przeprowadzonej akcji. „To ja nie jestem tutaj potrzebny” — wyraził się ów major i z uśmiechem pożegnał się. W tym momencie nadleciał kapral z polskiego plutonu ze skargą, iż jakiś sierżant angielski odebrał mu stena. Poprosiłem wobec tego o oddanie broni, jednakże ów sierżant, wezwany przez dowódcę żandarmerii, prosił, by zezwolono mu wręczyć broń osobiście owemu kapralowi. Tak się też stało. Sierżant, oddając broń, uściśnął dłoń Polaka, poklepując go przyjaźnie po ramieniu.

Tak zakończyła się interwencja angielska, jedyna zresztą w okresie mej pracy w Misji. Aresztowanych, jak również pozostałego zatrzymanego w dniu następnym w jego mieszkaniu odstawiłem do więzienia w Herfordzie. Po ich przesłuchaniu przekazałem akta władzom angielskim. Osądenia sprawy nie doczekałem się, ale później w prasie polskiej ukazała się notatka, z której dowiedziałem się, że aresztowana przeze mnie grupa przestępców będzie sądzona przez mieszany trybunał aliancki.

W Misji w Bad Oynhausen pracowałem do końca stycznia 1946 r., tj. aż do powrotu do kraju, by z dniem 1 maja tegoż roku podjąć w Poznaniu na nowo pracę w swym zawodzie.